

Maria Paszyńska

# Chmuroreki i Ogniousty



FRAJDA



Maria Paszyńska

# Chmuroreki i Ognioasty

FRAJDA



*Moim dzieciom, Kubie i Natalce*



Rozdział 1

---

# **JAK TO JEST BYĆ INNYM U SIEBIE**





Nazywam się Noriaki Tanaka. Mam trzynaście lat, brata bliźniaka, który jest największym dziwakiem, jaki chodzi po tej ziemi, i – uprzedzając pytania – wbrew temu, co sądzicie, nie, nie jestem Japończykiem. No dobrze, może trochę, a dokładniej mówiąc: w połowie. Krótko mówiąc, nic nie jest takie, na jakie wygląda.

Widzicie, mój ojciec, Tomotaro Tanaka, przyjechał do Warszawy jeszcze w poprzednim tysiącleciu. Miał być tu przez tydzień, został na zawsze, bo zakochał się bez pamięci w ślicznej blondynce z niebieskimi oczami, która, jak się słusznie domyślacie, w przyszłości została moją mamą. Historia, jakich wiele. Żaden szanujący się reżyser nie nakręciłby w dwudziestym pierwszym wieku tak dennego *love story*. Netflix by tego nie kupił.

W tym całym zamieszaniu wcale nie myśleli o konsekwencjach, jakie ich wybory będą miały dla przyszłych pokoleń. Typowi dorośli, myślą wyłącznie o sobie, bo dzieci to w końcu tylko dzieci i jakoś tam przecież będzie, no nie?

Otóż nie, nie będzie. Wyobraźcie sobie, że macie stu-procentowo azjatycki wygląd: skośne oczy, bardzo ciemne włosy, inny odcień skóry, w dodatku nie grzeszycie wzrostem ani muskulaturą. Na imię macie Noriaki, na nazwisko

Tanaka, ale...mówicie płynną polszczyzną, prawidłowo deklinujecie i, co gorsza, wymowa „ą”, „ż”, „sz”, „cz”, „ń” nie sprawia wam najmniejszego kłopotu. Rozróżniacie ze słuchu „l” od „r”, znacie wszystkie związki frazeologiczne, rozumiecie żarty i tak dalej. Czujecie klimat?

Przy pierwszym spotkaniu nikt nie wie, co myśleć. Nic tu się przecież nie zgadza.

Część z was pewnie wzruszyła ramionami i teraz zastanawia się, o co mi właściwie chodzi. Przecież to nic strasznego, odrobina egzotyki, oryginalna uroda to atut.

Nic z tych rzeczy.

Wierzcie mi, w takiej sytuacji nie macie życia. Każdy nowo poznany patrzy na was jak na dziwadło! I zaraz pojawia się obowiązkowy zestaw pytań. O, nie, nie, nikogo nie obchodzi, której drużynie kibicujecie albo jaki macie level w tej czy innej grze. Skąd! Wszyscy chcą wiedzieć, jak to się stało, że Japończyk zdołał tak perfekcyjnie opanować język polski. Całe wieki zajmuje wyjaśnienie, że urodziłem się w Warszawie, w szpitalu na Mokotowie, a Japonię znam tylko z filmów i opowiadań ojca. Na koniec i tak najczęściej mam wrażenie, że ludzie tego nie kupują. Niby kiwają głowami i mruczą ze zrozumieniem, ale nadal dostrzegam ten błysk. Wątpliwość, czy przypadkiem ich nie wkręcąm.

Ręce opadają.

Czasem się zastanawiam, czy gdybym urodził się niebieskookim blondynem w Tokio, byłoby mi łatwiej czy trudniej. Dobija mnie myśl, że najprawdopodobniej byłoby identycznie. Ludzie wszędzie są przecież tacy sami, nie?

Całej sytuacji kolorytu dodaje fakt, że – jak już wam wspomniałem – mam brata bliźniaka. Jednojąjowego. Tak, dobrze kojarzycie fakty. Zewnętrznie jesteśmy jak dwie krople wody, jeśli zaś idzie o całą resztę, trudno o dwie bardziej różniące się od siebie osoby. Moglibyśmy wziąć udział w teleturnieju na niezgodność charakterów, zgarnęlibyśmy główne nagrody na wszystkich etapach.

Masao, czy raczej Mickiewicz, jak nazywają go wszyscy, to wręcz podręcznikowy przykład życiowego niedojdy, który nie ma pojęcia, jak włączyć komputer. Mama ochrzciła go nazwiskiem tego poety, gdy byliśmy jeszcze mali. Pracowała wtedy w muzeum i często, zamiast czytać nam bajki czy śpiewać piosenki, oglądała z nami obrazy w albumach o sztuce. Pewnego dnia, gdy akurat oglądaliśmy obraz *Portret Adama Mickiewicza na Judahu skale*, wrócił z pracy nasz tata. Jak zwykle, jeszcze nim odłożył teczkę, ale już po zdjęciu butów – jako rodowity Japończyk ma na tym punkcie niezłego fioła – cmoknął mamę w czubek głowy i zapytał, co porabialiśmy cały dzień. Zerknął przy tym nieuważnie na leżący na kolanach mamy album.

– Skąd się tu wziął portret Masao? – zapytał wyraźnie zszokowany.

Mama spojrzała na męża, potem na Masao, który siedział z brodą i policzkiem wspartymi na dłoni, palcami drugiej ręki jakoś tak dziwnie schowanymi pod rozpiętym swetrem i z nieobecny wyrazem twarzy, potem na obraz i znów na mojego bliźniaka, po czym zaczęła się dziwo śmiać. Masao aż się wzdrygnął, wyrwany gwałtownie z zamyślenia. Mama zaś śmiała się tak bardzo, że dostała

czkawki i poczerwieniała na twarzy. Wyraźnie brakowało jej tchu, ale śmiała się dalej. Wszyscy trzej wpatrywaliśmy się w nią z naukowym zaciekawieniem. Tata wyglądał na przestraszonego, jakby nie był pewien, czy mama przypadkiem nie potrzebuje pomocy. Uwielbiał swoją żonę, co do tego nie miałem nigdy żadnych wątpliwości, ale czasem przysięgłbym, że jej ekspresyjna natura trochę go przerażała.

A może tak tylko mi się zdawało...

Teraz już się nie dowiem, bo tata w ogóle nie chce rozmawiać o mamie.

Strasznie dziwne jest to, jak bezsensowne wspomnienia przechowujemy w głowie. Tamtego dnia miałem pewnie z pięć lat, a nadal pamiętam dokładnie wyraz twarzy mamy, gdy zerknęła to na ilustrację, to na Masao. I ten błysk w oczach taty. Zawsze tak było, gdy patrzył na mamę.

Tamtego popołudnia tkwił tam jeszcze chwilę, a widząc, że mama nie zamierza przestać się śmiać (przeciwnie, książka spadła jej z kolan, a w ślad za nią mama ześlizgnęła się z kanapy i śmiała się dalej, leżąc na podłodze. Bardzo lubiła się śmiać), cofnął się do korytarza, po czym szybko zniknął w łazience, gdzie odczekał cierpliwie do kolacji.

Od tamtej pory mama z rzadka zwracała się do Masao inaczej niż: Mickiewicz. I zawsze się przy tym uśmiechała.

Gdy byliśmy młodzi, strasznie zazdrościłem mu tego polskiego przezwiska. Jak każdy dzieciak miałem jedno pragnienie – nie odstawać od reszty, niczym się nie wyróżniać, a moje imię stawiało mnie na z góry przegranej pozycji. Tymczasem, gdy tylko poszliśmy do zerówki,

okazało się, że wszyscy, dosłownie wszyscy, nazywają Masao Mickiewiczem! Jak tego dokonał, do dziś pozostaje dla mnie tajemnicą. Bardzo chciałem, żeby mama i dla mnie wymyśliła jakąś użyteczną ksywkę, ale żadna widocznie do mnie nie pasowała i pozostałem „jej małym Norim”.

Swojego czasu miałem o to pretensje. Potrafiłem wykrzyczeć, że jest niesprawiedliwa, okropna, że woli Masao i dziesiątki innych niezbyt przyjemnych rzeczy, których dziś już nawet nie pamiętam, ale strasznie żałuję, że kiedykolwiek powiedziałem coś takiego.

Moja mama była najlepsza na świecie, a teraz już jej nie ma. I nie mogę jej tego powiedzieć.

Umarła ponad rok temu. Wiosną lekarz odkrył u niej jakiegoś guza, zimą już nie żyła. Do ostatniej chwili śmiała się i przekonywała nas, że wszystko będzie dobrze, a my jej wierzyliśmy. To znaczy ja i Masao, bo im głośniej śmiała się mama, tym smutniejszy stawał się tata. Powiniennem był to zauważyć, ale niczego nie dostrzegałem. Wszystko miało być dobrze.

Wierzyłem w każde jej słowo, a ona mnie okłamała.

Umarła, choć przecież obiecywała, że wyzdrowieje...

Nie pamiętam dokładnie tamtych dni po śmierci mamy. Wszystko jest zamazane, wspomnienia płaczą się, nie chcą się układać w logiczną całość. Zresztą po co do tego wracać? To w niczym nie pomoże. Przynajmniej tak chyba myśli nasz tata. Od śmierci mamy zachowuje się, jakby nigdy jej nie było. Pochował wszystkie zdjęcia, cioci Krysi oddał jej ulubione sukienki i kubek w białe rumianki, w którym co rano piła kawę. Kupił nawet nowe łóżko,

a dokładnie taką dziwną matę, którą co wieczór rozkłada, by następnego ranka znów ją zwijać. W sypialni rodziców zrobiło się przez to strasznie pusto i jest dziwny pogłos. Jak w grobowcu.

Nigdy nie chodzimy na cmentarz. Ja i Masao byliśmy raz z ciocią Krysią w Dzień Zaduszny, ale w tym roku postaram się od tego wymigać. Ciocia strasznie płakała, a my z Masao staliśmy jak kołki, zmarznięci i mokrzy wpatrując się w krople deszczu tłukące o grób. Tata wymógł na kamieniarzach, żeby zrobili na płycie niewielkie wgłębienie, w którym gromadzi się woda. To ponoć taki zwyczaj z jego rodzinnych stron. W ten sposób powstaje poidelko dla ptaków. Zlatują się do niego, śpiewają. Życie toczy się dalej.

Tyle że bez mamy jest jeszcze trudniejsze do zniesienia.

\*

Był poniedziałek. Idąc przez szkolne podwórko, spoglądałem w niebo. Zastanawiałem się, czy sunące po niebie cumulusy, potocznie nazywane barankami, mają szansę zgęstnieć w kolejną epicką burzę, taką jak ta, która poprzedniego dnia przetoczyła się nad naszym miastem. Co to był za spektakl! Całe niebo gęsto poprzecinane błyskawicami jak szyba w powypadkowym samochodzie. Słowo daję, było jaśniej i efektowniej niż o północy w sylwestra. Gdybym nie miał dowodów, pewnie dziś rano myślałbym, że tylko mi się to przyśniło. Na szczęście udało mi się wszystko uwiecznić smartfonem.

Tata jak zwykle kazał mi zostawić komórkę w domu.

– To niebezpieczne. – Zawsze w ten sam sposób ucina dyskusję o korzystaniu z telefonu w czasie burzy. – Na wszelki wypadek zostaw.

Na wszelki wypadek?! Co to w ogóle za argument! Nie jesteśmy przecież w średniowieczu! Od czasów młodości ojca trochę się pozmieniało, świat poszedł do przodu, technologie nie rozwijają się z roku na rok, ale niemal z dnia na dzień. To się nazywa postęp, jednak pan Tanaka najwidoczniej nie zamierza się z tym pogodzić.

Zignorowałem zakaz. Nie lubię tego robić, ale musiałem. Bo jaki niby miałem wybór, kiedy on za nic nie daje sobie wytłumaczyć, że smartfon wytwarza za małe pole magnetyczne, żeby przyciągnąć piorun?! No jakie?!

Telefon stacjonarny podłączony kablem do sieci to zupełnie co innego, ale po pierwsze w ogóle nie mamy takiego urządzenia, a po drugie nikt przy zdrowych zmysłach nie pchałby się w burzy na dach budynku z czymś, co i tak nie ma aparatu fotograficznego, bo przecież o możliwość zrobienia zdjęć chodzi w całym tym podejmowaniu ryzyka. Nie tak znowu wielkiego, bo nasz blok jest jednym z tych niższych w okolicy. Mama na pewno nie miałaby z tym problemu. Zrozumiałaby. Tata to co innego. Czasem nie ma więc innej drogi, trzeba złamać zasady i już, zwłaszcza wtedy, gdy ktoś „na wszelki wypadek” kicha na prawa fizyki. Gdybym wczoraj posłuchał taty, nie wybaczyłbym sobie tego pewnie do końca życia. Zdjęcia wyszły wspaniale. Zwykle udaje się jedno, może dwa, tym razem wyraźnych mam przynajmniej kilkanaście, a może i inne uda mi się podkręcić w programie graficznym. Po szkole zobaczę, co da się zrobić, a potem wrzucę wszystkie

na forum Łowców Burz. Nakręciłem też kilka fajnych filmików. Może powinienem podłożyć pod nie muzykę i pomyśleć o kanale na TikToku? Albo na YouTube?

Dałem się ponieść marzeniom. Straciłem czujność, a to w szkolnej rzeczywistości niewybaczalny błąd. Potknąłem się o coś. Zachwiałem. Zamachałem rękoma, co musiało wyglądać zupełnie idiotycznie, ale w końcu udało mi się złapać równowagę. Oddychałem ciężko.

– Patrz, jak leziesz, niedojdo!

Ten głos rozpoznałbym wszędzie. Miałem ochotę zakląć, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Trochę ze strachu, a trochę z wściekłości, że takie rzeczy zawsze przydarzają się właśnie mnie. Przyciągam kłopoty jak maszt pioruny.

– Zatkano? – warknął Kita, łobuz z ósmej a, z którym od lat miałem na pieńku. Mimo upływu czasu nadal nie mogę dojść dlaczego; czym tak strasznie go drażnię?

Przez ostatnie lata do perfekcji opanowałem sztukę schodzenia mu z drogi. Nie jest to znowu takie trudne, bo zwykle Kita w otoczeniu swojej świty przesiaduje za murkiem w kącie boiska, a przez podwórko przemyka już po dzwonku, żeby przypadkiem nie natknąć się na któregoś z nauczycieli.

Szkoła to skomplikowana sieć zależności. Wystarczy przeprowadzić obserwację, przeanalizować dane i nauczyć się systemu. Wówczas można znacznie zminimalizować ryzyko przykrych zdarzeń. Trzeba tylko zachować czujność, a nie gapić się w niebo i rozmyślać o burzach. Od tego są co nudniejsze lekcje!

Opuściłem gardę, a to w szkolnej dżungli nigdy nie uchodzi na sucho. Po chwili uświadomiłem sobie, że moja



sytuacja wygląda jeszcze gorzej, niż przypuszczałem. Na ławce obok Kity i jego nieodłącznych kompanów siedziała dziewczyna. Nie widziałem jej nigdy przedtem. Niezbyt wysoka, jasnowłosa, piegowata. Ładna. Przede wszystkim nowa, a to oznaczało, że półmózgi Kita miał jeszcze jakiegokolwiek szanse zrobić na niej dobre wrażenie. I to właśnie tłumaczyło jego obecność w tych rejonach szkoły.

Najwyraźniej nadeptując na czubek jego trampka, przerwałem mu stroszenie piórek. Chciałem coś powiedzieć, przeprosić, spróbować jakoś się wytłumaczyć... Przełknąłem ślinę, otworzyłem usta, lecz nie zdążyłem się odezwać.

– No i co się gapisz? – warknął Kita.

Coś zaszeleściło. Chłopak zerwał się z ławki i stanął naprzeciwko mnie. Blisko, o wiele za blisko jak na standardy europejskie.

– Buty mi zniszczyłeś, żółtku jeden! – wrzasnął.

Poczułem na twarzy kropelki śliny, ale nie odważyłem się ich zetrzeć. Stałem bez ruchu, starałem się nie oddychać. W głowie miałem kompletną pustkę. No dobra, byłem przerażony. Miałem nadzieję, że jeśli będę udawał słup soli, Kita da sobie spokój.

– Po polsku nie rozumiesz?! – Osisek nie miał ochoty dawać za wygraną. Zrobiło mi się gorąco. – Buty mi zniszczyłeś!

Odruchowo spuściłem wzrok. Kita miał na nogach podniszczone trampki. Nawet gdybym przewrócił na nie kosz z odpadami bio ze szkolnej stołówki, nie pogorszyłyby to ich i tak złego już stanu.

– No i na co ty się tak gapisz?!

Kita nie miał zbyt bogatego słownictwa, ale tych kilka wyrazów wystarczyło, by po plecach przebiegł mi nieprzyjemny dreszcz. Natychmiast podniosłem wzrok.

– „Przepraszam” się mówi! – Jego głos wibrował wściekłością.

Otworzyłem usta, nabrałem powietrza. Niespodziewanie Kita położył mi dłonie na piersi i pchnął. Zachwiałem się.

– Może ta pięść... – Pocałował zwiniętą w pięść dłoń jak bohater tandetnego filmu akcji. Mimo dość tragicznego położenia z niemalym trudem powstrzymałem się od śmiechu. – ...przypomni ci, jak się mówi „przepraszam”. Uwaga, lekcja pierwsza, Japońcu, powtarzaj za mną: PRZE-PRA-SZAM.

Uderzył. Pięć trafiła mnie prosto w brzuch. Cios był nagły i mocny. Jęknąłem. Ból na chwilę rozmazał wszystko wokół.

– PRZE-PRA-SZAM – sylabizował Kita, zwijając dłonie w pięść.

Domyślałem się, że szykuje się do kolejnego ciosu. Moje ciało się napięło.

– Ej, daj spokój! – usłyszałem dziewczęcy głos. Natychmiast się zorientowałem, że należy do nieznannej z ławki. – Weź go zostaw. Nie warto.

Kita jakby tylko czekał na te słowa. Zamachnął się i raz jeszcze mnie uderzył. Przed oczami zatańczyły mi ciemne plamki. Zachwiałem się.

– Zostaw go, słyszysz?! – Tym razem w głosie dziewczyny dało się słyszeć złość i determinację.

Kita ani myślał posłuchać. Przeciwnie, jej słowa podziałały jak doping. Uśmiechnął się. Złapał mnie za koszulkę tuż przy szyi i szarpnął w górę. Moje stopy straciły kontakt z podłożem.

– Lepiej popatrz, jak się wije – rzucił z satysfakcją, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Naprawdę myślisz, że ci się tak po prostu upiecze? – syknął do mnie. Musiał na śniadanie zjeść coś ze szczypiorkiem, bo z jego ust wydobył się ostry zapach. – Jak się narozrabia, to trzeba potem swoje wycierpieć, żółtku. No już, dawaj dwie stowy na nowe trampki, w brudnych chodził nie będę.

Nawet gdybym chciał coś mu odpowiedzieć, nie dałbym rady. Brakowało mi tchu. Pokręciłem głową, próbując się wyswobodzić, ale Kita tylko wzmocnił uścisk. Moje ręce młóciły powietrze, ale nie wyrządzały mu najmniejszej krzywdy. Zakręciło mi się w głowie.

– Nauczyciel idzie! – ostrzegła dziewczyna.

Podziałało. Palce Kity błyskawicznie się rozluźniły. Upadłem na ziemię. Oddychałem ciężko.

– Jeszcze się policzymy, żółtku! – Kita rozejrzał się nerwowo, po czym dodał: – Nie zapomnij o foorsie. Na jutro ma być, słyszysz? Muszę spadać, mała. Znajdę cię na długiej przerwie.

– Tak, jasne – odparła bez przekonania dziewczyna.

Kita splunął, wbił ręce w kieszenie i szybko się oddalił. Miałem wrażenie, że z trudem powstrzymuje się przed biegiem.

Leżałem na piasku. Niebezpieczeństwo minęło. Zamknąłem oczy, oddychałem powoli i zastanawiałem się, jak

DWÓCH BRACI. DWA RÓŻNE ŚWIATY. WSPÓŁCZESNE  
TOKIO I PRADAWNE JAPOŃSKIE LEGENDY. ŚWIAT  
ŻYWYCH I ZMARŁYCH. TAJEMNICA, PRZEZNACZENIE,  
NADPRZYRODZONE MOCE, NIEBEZPIECZNA PODRÓŻ  
I BÓJ O RODZINĘ.

KSIĄŻKA DLA MŁODZIEŻY  
AUTORKI BESTSELLERÓW – MARII PASZYŃSKIEJ!

Bliźniacy Noriaki i Masao są dziećmi Polki i Japończyka. Urodzeni w Polsce trzynastolatkiem są podobni do siebie jak dwie krople wody, ale oprócz wyglądu różni ich wszystko. Noriaki nie widzi świata poza komputerami, a jego prawdziwą obsesją są burze. Często popada w złość, nad którą nie umie zapanować. Masao, zwany Mickiewiczem, kocha książki i ma niezwykły dar wymowy, jakby czarował ludzi słowami.

Po tragedii, która dotknęła rodzinę, ojciec bliźniaków postanawia wrócić w rodzinne strony, po latach spotkać się z własną matką. Wyprawa do Japonii w niczym nie przypomina zwyczajnej wizyty u babci. Zdarzenia szybko przybierają całkiem nieoczekiwany obrót. Nic nie jest takie, jakie miało być...

A co, jeśli magia istnieje naprawdę? Czy itako, japońskie szamanki, to coś więcej niż bajeczka dla turystów? Czy wędrówką przez świat duchów można zmienić bieg czyjejś historii? Czy kilkoro nastolatków zdoła stawić czoła prastarym siłom i zawalczyć o to, co najważniejsze?

cena 44,90 zł